Nr. 40. Sobota dnia 5-go października 1913.

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę dwudziestopierwszą po Ziel. Św.

LEKCYA

z listu św. Pawła do Efezów rozdział VI, wiersz 10—18.

Bracia! Wzmacniajcie się w Panu i w sile mocy Jego. Obleczcie się w zupełną zbroję Bożą, abyście mogli stać przeciwko zasadzkom djabelskim. Albowiem nie mamy walki przeciw ciału i krwi, ale przeciwko książętom i władzom, przeciwko rządzcom świata tych ciemności, przeciwko duchownym złościom w nadziemskich. A przetóż weźcie zupełną zbroję Bożą, abyście mogli sprzeciwić się w dzień zły i we wszystkiem doskonali stać. Stójcież tedy, przepasawszy biodra wasze prawdą, a oblókłszy pancerz sprawiedliwości i obuwszy nogi w gotowość Ewangelii pokoju. Przed wszystkiem biorąc tarczę wiary, którąbyście mogli wszystkie strzały ogniste złośliwego zgasić. I przyłbicę zbawienia weźmijcie i miecz ducha, które jest Słowo Boże.

EWANGELIA

u św. Mateusza w rozdziale XVIII, 23—35.

Onego czasu powiedział Jezus uczniom Swoim to podobieństwo: Podobne jest królestwo niebieskie człowiekowi królowi, który chciał kłaść liczbę z sługami swoimi. A gdy począł liczbę kłaść, przywiedziono mu jednego, który mu był winien dziesięć tysięcy talentów. A gdy nie miał skąd oddać, kazał go Pan jego zaprzedać, i żonę jego, i dzieci, i wszystko co miał, i oddać. A upadłszy sługa on, prosił go, mówiąc: Miej cierpliwość nademną, a wszystko tobie oddam. A Pan, zlitowawszy się nad owym sługą, wypuścił go i dług mu odpuścił. Lecz sługa on, wyszedłszy, znalazł jednego z towarzyszów swoich, który mu był winien sto groszy i ująwszy, dusił go, mówiąc: Oddaj, coś winien. A upadłszy towarzysz jego, prosił go, mówiąc: Miej cierpliwość nademną, a oddam ci wszystko. Lecz on nie chciał, ale szedł i wsadził go do więzienia, ażby oddał dług. A ujrzawszy towarzysze jego, co się działo, zasmucili się bardzo, i przyszli i powiedzieli Panu swemu wszystko, co się było stało. Tedy zawołał go Pan jego i rzekł mu: Sługo niecnotliwy! wszystek dług odpuściłem ci, iżeś mnie prosił, iżali i ty nie miałeś się zmiłować nad towarzyszem twoim, jakom się i ja zmiłował nad tobą? I rozgniewawszy się Pan jego, podał go katom, ażby mu oddał wszystek dług. Takci i Ojciec Mój niebieski uczyni wam, jeżeli nie odpuścicie każdy bratu swemu z serc waszych.

NAUKA.

Kto krzywdy, urazy, bliźniemu odpuści, temu też odpuści Bóg grzechy jego.

„Takci i Ojciec Mój niebieski uczyni wam, jeżli nie opuścicie każdy bratu swojemu z serc waszych.“

Jakże to i nam Bóg Ojciec uczyni? Tak samo, jak uczynił ów król słudze swojemu. — Na prośbę tego sługi król darował mu długu dziesięć tysięcy talentów. Kiedy jednak sługa ten towarzyszowi swemu nie darował sto groszy, ale go ujął i dusił, a jeszcze wtrącił i do więzienia, ażby oddał dług, tedy i król, dowiedziawszy się o tem, cofnął słowo swoje. Kazał więc sługę niecnotliwego zaprzedać, i żonę jego i dzieci i wszystko, co miał, aby tak swoich dziesięć tysięcy talentów odebrać. Otóż i z nami Bóg tak samo postąpi. Nie odpuści nam, jeżeli i my nie odpuścimy z serca bratu naszemu.

Weź to sobie dobrze do głowy. Bo tym sługą, co winien był królowi sumę tak wielką, to każdy grzesznik, to ty sam, coś dług wielki niezmiernie zaciągnął u Boga przez grzechy twoje. A ten dług twój naprawdę niezmiernie wielki, bo kto jesteś ty, a kto Bóg? Kto jest ten człowiek, co śmie Boga obrażać? nędzny to robak tej ziemi, proch to jedynie, „a dni jego, jako trawa, jako kwiat polny, tak okwitnie” (Ps. 102, 13). Jedno ziarnko piasku jakież ono malutkie przeciwko ziemi, a człowiek naprzeciw Boga jeszcze stokroć mniejszy. Kropelka wody, z morzem porównana, jest niczem, i człowiek niczem jest, z Bogiem porównany. On Panem twoim, ty Jego sługą, On Stwórcą, ty Jego stworzeniem. Jedno woli Jego skinienie wystarcza, abyś już nie żył. A ty na tego Boga zrywasz się zuchwale, kiedy grzeszysz, kiedy łamiesz jego przykazania. Jakże więc wiele złości ma w sobie jeden grzech śmiertelny, a tyś ich tyle w życiu twem popełnił! Zaprawdę, dziesięć tysięcy talentów dług twój wynosi u Boga. Cóż przeto z tobą się stanie, kiedy tenże Król królów pocznie i z tobą kłaść liczbę, kiedy cię przed Swój sąd zawezwie? Wołać ci chyba już teraz: nie wchodź Panie, w sądy z sługą Twoim, albowiem się nie ostoję przed Tobą.

Choć jest sposób na to, abyś znalazł jeszcze miłosierdzie u Boga. Odpuść, a Bóg i tobie odpuści. Inaczej i ty wyjdziesz przed Bogiem tak samo, jak wyszedł ów sługa przed królem. Wszak król kazał go zaprzedać, i żonę jego i dzieci i wszystko, co miał, i tak wydał go na ciężką niewolę. I z tobą Bóg uczyni podobnie. Od siebie się odwróci, w niewolę czartowską cię poda, jeżeli nie odpuścisz bliźniemu.

Dobrze sobie weź to do głowy. Spoglądnij ku niebu. Samo tam szczęście, bo tam Bóg przebywa, źródło szczęścia wszelkiego. Smutku tam niemasz, ni łez, ni niedoli, radość tam wieczna. I śmierci tam nie masz, życie tam wieczne. I niezgoda nie ma tam przystępu, pokój tam wieczny. A w dodatku jasność prześliczna całe tam niebo ogarnia, a śpiewy anielskie od końca tam się rozchodzą do końca. Wybrani też Boga zawsze tam powtarzają sobie: Dobrze nam tu być. A św. Paweł powiada: „Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani w serce człowieka nie wstąpiło, co Bóg nagotował tym, którzy Go miłują” (Ij Kor. 2, 9). Czyjeż serce tam się nie wyrywa do tego nieba, ile razy o niem pomyśli?

A jednak to rozkoszne, to prześliczne niebo przed tobą zamknięte. Czemuż to? Bo nie chcesz krzywdy i urazy bliźniemu przebaczyć. Cóż to przecie za krzywda, jaką ci bliźni twój wyrządził? Wiem, jaka. Kura jego zagrzebała na twojej grzędzie, krowa jego wpadła w zboże twoje, jego wóz przejechał przez pole twoje. A może bliźni twój kawałek ci płotu rozebrał, garść trawy może urwał na łące twojej, albo cię w kupnie, sprzedaży oszukał. Cóż więc? Czy za tę krzywdę, co nie obstoi ani za sto groszy, ty sobie to rozkoszne niebo zamkniesz na zawsze? Jakoż zamkniesz je przed sobą na wieki, jeżeli tej krzywdy nie odpuścisz bliźniemu. Choćby cię zresztą sąsiad twój i spalił, choćby całe twoje domostwo puścił z płomieniem, przebacz mu i wtedy, wszak niebo więcej jest warte, niż stajnia, niż twoja stodoła. Przebacz, inaczej bowiem i tobie Bóg nie przebaczy. „Takci i Ojciec Mój niebieski uczyni wam, jeżeli nie odpuścicie każdy bratu swojemu z serc waszych".

Cóż to za jedne jeszcze te urazy, któremi tak do żywa twój bliźni ci dopiekł? Powiedział o tobie, żeś głupi, żeś próżniak, żeś pyszny, skąpy, łakomy. Nazwał cię garbulą, piekielnicą, czarownicą nawet. I za to gniewasz się na śmierć na niego, przed sądy go pozywasz, nie chcesz mu tego przebaczyć. Żeś urażony temu wyzwiskami, nie dziwić się temu; że mogło cię to zaboleć, i temu się nie dziwić. Wiesz jednak, czemu się dziwić bardzo? Że nie chcesz urazy tej darować bliźniemu. Mówisz przecie codzień w pacierzu: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom". Mówisz: tak mi Boże odpuść grzechy moje, jak i ja bliźniemu urazy wszelkie odpuszczam. A tymczasem ty nie odpuszczasz wcale, powiadasz nawet, że mu nie odpuścisz do śmierci, cóż więc i tobie ma Bóg uczynić? Odpowiedz, co ci ma uczynić? O, niemądry człowiecze, co sam na siebie gniew Boży przyzywasz. A jeszcze się i nieba pozbawiasz, wyraźnie bowiem mówi ci Pan Jezus: „Takci i Ojciec Mój niebieski uczyni wam, jeżeli nie odpuścicie każdy bratu swojemu z serc waszych".

Cóż, kiedy ludzie źli mówią ci inaczej, nie tak, jak Pan Jezus. Mówią: Nie daruj. Mówią: Ja, na twojem miejscu, nie darowałbym nigdy, jabym go rozumu nauczył. Tak samo do króla Dawida mówili zausznicy jego. Kiedy bowiem Dawid z Jeruzalem uchodził przed Absalonem, zabiegł mu niejaki Semei drogę i złorzeczył mu i kamieniami rzucał na niego. Słudzy królewscy, widząc to, chcieli pójść zabić go, ale Dawid ofuknął ich za to, a powiedział: „Dajcie mu pokój, aby złorzeczył, a wejrzy Pan na utrapienie moje i odda mi dobrem za złorzeczenie to dzisiejsze" (II. Król. 16, 11). Dawid nie posłuchał złej rady swych dworzan, ale przebaczył Semeiowi złorzeszenia jego. Czyń-że i ty tak samo, wiedz bowiem, że nie z Boga, lecz z djabła jen człowiek, co cię do zemsty zachęca. Czyń tak, jak czyniła św. Jadwiga, wdowa, która na wszystkie obelgi jedną miała odpowiedź: Niech ci Bóg przebaczy.

Czy rozumiesz, o co tu w tej nauce chodzi? Chodzi tu o to, abyś krzywdy, urazy bliźniemu przebaczał, abyś je z serca przebaczał, jak ci przykazuje Pan Jezus. Ile więc razy z tym człowiekiem się spotykasz, co ci krzywdę uczynił, co cię zelżył, sponiewarzył, nie odwracaj twarzy swej od niego, ale go pozdrów uprzejmie, o powodzenie, o zdrowie zapytaj. A jeśli nieszczęście jakie spuści Bóg na niego, pospiesz mu z pomocą potrzebną, pociesz, poratuj, jak gdybyś najmniejszej krzywdy nigdy od niego nie doznał. Broń też sławy jego, kiedy usłyszysz, że o nim źle mówią, że imię jego szarpią złośliwie. Jeszcze się za niego i pomódl, jak nam to przykazuje Pan Jezus, kiedy powiada: „Módlcie się za tymi, którzy was prześladują i potwarzają" (Mat. 5, 44). Wiedy dopiero pokażesz po sobie, żeś chrześcianin prawdziwy, żeś uczeń tego Jezusa, który się modlił za tymi nawet, co Go do krzyża przybili. Dopiero wtedy możesz obiecywać sobie, że grzechy twoje, i największe nawet, Bóg tobie odpuści. Sam przecie Pan Jezus zapewnia cię o tem w tych słowach: „Odpuszczajcie, a będzie wam odpuszczono" (Łuk. 6, 37).

Nieraz frasuje się niejeden nie mało, czy on też zbawi swą duszę. Pości więc surowo, całemi godzinami się modli, chodzi daleko na miejsca cudowne, spowiada się częściej i komunikuje. I tak myśli sobie: za te moje dobre uczynki niebo mnie przecie nie minie. Jakoż cię nie minie, ale pod jednym warunkiem, jeżeli bliźniemu krzywdy, urazy z serca darujesz. Inaczej zaś nie spodziewaj się nieba. Choćbyś pościł nawet tak surowo, żeby jeno skóra na tobie została, choćbyś i nie spał, ale wciąż się modlił, choćbyś poszedł piechotą i do Ziemi św. i spowiadał się co tydzień, do nieba jednak nie pójdziesz, jeżeli krzywdy, urazy wszelakiej z serca nie odpuścisz bliźniemu. „Takci i Ojciec Mój niebieski uczyni wam, jeżeli nie odpuścicie każdy bratu swojemu z serc waszych." Amen.

W JESIENI.

(URYWEK Z POWIEŚCI REYMONTA „CHŁOPI".)

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, moja Agato, a dokąd to wędrujecie, co?

— We świat, do ludzi, dobrodzieju kochany — w tyli świat!... — zakreśliła kijaszkiem łuk od wschodu do zachodu.

Ksiądz spojrzał bezwiednie w tę dal i rychło przywarł oczy, bo nad zachodem wisiało oślepiające słońce; a potem spytał ciszej, lękliwiej jakby...

— Wypędzili was Kłębowie, co? A może to ino niezgoda?... może...

Nie zaraz odrzekła, wyprostowała się nieco, powlokła ciężko staremi wypełzłemi oczami po polach ojesieniałych, pustych i po dachcach wsi, zanurzonej w sadach.

— I... nie wypędzali... jakżeby... dobre są ludzie krewniaki. Niezgody też nijakiej być nie było. — Samam ino zmiarkowała, że trza mi w świat. — Z cudzego woza — to złaź choć i w pół morza.

Trza było... roboty już la mnie nie miały... na zimę idzie, to jakże — darmo mi to dadzą warzę abo i ten kąt do spania?...

A że, rychtyk, i ciołka odsadzili od maci... a i gąski, bo to już zimne nocki, trza zagnać pod strzechę — tom i zrobiła miejsce... jakże, bydlątek szkoda, Boże stworzenie też... A ludzie dobre, bo mię choć latem przytulą, kąta ani też łyżki strawy nie żałują — że se człowiek kiej jaka gospodyni paraduje.

A na zimę we świat, po proszonem.

Nie wiela mi potrza, to se u dobrych ludzi uproszę i do wiesny z Panajezusową łaską przechyr-

lam, a jeszcze się coś niecoś grosza uścibi — to rychtyk la nich na przednowek... krewniaki przeciech... A jużta Jezusiczek przenajsłodszy biedoty opuścić nie opuści.

— Nie opuści, nie — zawołał gorąco i wstydliwie wsadził jej w garść złotówkę.

— Dobrodzieju nasz serdeczny, dobrodzieju!

Przypadła mu do kolan roztrzęsioną głową, a łzy jak groch posypały się po jej twarzy szarej i zradlonej, jak te jesienne podorówki.

— Idźcie z Bogiem — idźcie — szeptał zakłopotany, podnosząc ją z ziemi.

Zebrała drżącemi rękami torby i kijaszek z jeżem na końcu, przeżegnała się i poszła szeroką, wyboistą drogą ku lasom; raz wraz tylko odwracała się ku wsi, ku polom, na których kopano kartofle i na te dymy pastusich ognisk, co się snuły nisko nad ścierniskami — poglądała żałośnie, aż i zniknęła za przydrożnymi krzami.

A ksiądz usiadł z powrotem na kółkach od pługa, zażył tabaki i rozłożył brewiarz, ale oczy ześlizgiwały mu się z czerwonych liter i leciały po ogromnych, w jesiennej zadumie pogrążonych ziemiach, to po bladem niebie błądziły, lub zatrzymywały się na parobku, pochylonym nad pługiem.

— Walek... bruzda krzywa... te... — zawołał, unosząc się nieco i chodził już oczami, krok za krokiem za parą tłustych siwków, ciągnących pług ze skrzypem.

Zaczął znowu bezwiednie przebiegać czerwone litery brewiarza i poruszać ustami, ale co chwila gonił oczami siwki, to stadko wron, które ostrożnie, z wyciągniętymi dziobami podskakiwały w bruździe i raz wraz, za każdym świstem bata, za każdym nawrotem pługa, podrywały się ciężko, padały zaraz na zorane zagony i ostrzyły dzioby o twarde, zeschłe skiby.

— Walek! a śmignij no prawą, bo zostaje!

Uśmiechnął się, bo jakoż po bacie prawa już równo ciągnęła, a gdy konie doszły do drogi, uniósł się żywo, poklepał je przyjaźnie po karkach aż wyciągały do niego nozdrza i przyjacielsko obwąchiwały twarz.

— Heeet-aa! — wołał śpiewnie Walek, wyciągnął błyszczący jakby ze srebra pług, uniósł go lekko, pociągnął konie lejcami, że zatoczyły krótki łuk, wraził krój błyszczący w rżysko, śmignął batem, konie pociągły z miejsca aż zgrzytnęły orczyki — i orał dalej, wielki łan ziemi, co pod prostym kątem spadał od drogi po pochyłości i niby długi wątek zgrzebnych skib, rozciągał się aż ku wsi leżącej nisko i jakby zatopionej w czerwonawych i żółtawych sadach.

Cicho było, ciepło i nieco sennie.

Słońce, chociaż to był już koniec września, przygrzewało jeszcze niezgorzej — wisiało w połowie drogi między południem a zachodem, nad lasami, że już krze, i kamionki, i grusze po polach, a nawet zeschłe twarde skiby, kładły zasię cienie nocne i chłodne.

Cisza była na polach opustoszałych i upajająca słodkość w powietrzu przymglonem kurzawą słoneczną; na wysokim, bladym błękicie leżały gdzie niegdzie bezładnie porozrzucane ogromne białe chmury, niby zwały śniegów, nawiane przez wichry i postrzępione.

A pod niemi, jak okiem ogarnąć, leżały szare pola, niby olbrzymia misa o modrych wrębach lasów — misa, przez którą jak srebrne przędziwo rozbłysie w słońcu, migotała się w skrętach rzeka z pod olch i łozin nadbrzeżnych. Wzbierała w pośrodku wsi w ogromny podłużny staw i uciekała na północ wyrwą wśród pagórków; na dnie kotliny dokoła stawu leżała wieś i grała w słońcu jesiennemi barwami sadów — niby czerwono-żółta liszka zwinięta na szarym liściu łopianu, od której do lasów wyciągało się długie, splątane nieco przędziwo zagonów, płachty pól szarych, sznury miedz pełnych kamionek i tarnin — tylko gdzie-niegdzie w tej srebrnawej szarości rozlewały się strugi złota — łubiny żółciły się kwiatem pachnącym, to bielały omdlałe, wyschłe łożyska strumieni, albo leżały piaszczysie senne drogi i nad niemi rzędy potężnych topoli zwolna wspinały się na wzgórza i pochylały ku lasom.

Ksiądz ocknął się z zapatrzenia, bo długi, żałośny ryk rozległ się gdzieś niedaleko, aż wrony poderwały się z krzykiem i skośnym rzutem leciały na kopaniska — a czarny migocący cień biegł za niemi dołem po rżyskach i podorówkach.

Przysłonił ręką oczy i patrzył pod słońce — drogą od lasów szła jakaś dziewczyna i ciągnęła za sobą na postronku dużą, czerwoną krowę, gdy przechodziła obok, pochwaliła Boga i chciała skręcić, aby księdza pocałować w rękę, ale krowa szarpnęła ją w bok i znowu ryczeć zaczęła.

A potem wlókł się ciężko po piaszczystej drodze żyd szmaciarz, pchał przed sobą taczki dobrze naładowane, bo raz wraz przysiadał i ciężko dyszał.

— Co tam słychać, Moszku?

— Co słychać?... Komu dobrze to i dobrze słychać... Kartofle chwała Bogu obrodziły, żyto sypie, kapusta będzie. Kto ma kartofle, kto ma żyto, kto ma kapustę — temu dobrze słychać! Pocałował księdza w rękaw, założył na bok pas od taczek i pchał dalej, lżej już, bo zaczynał się spadek łagodny.

A potem szedł środkiem drogi, w kurzawie, bo zamiatał nogami, ślepy dziad, prowadzony przez tłustego kundla na sznurku.

A potem leciał od lasu chłopak z butelką, ale ten ujrzawszy księdza przy drodze, okrążył go zdala i biegł na przełaj pól do karczmy.

To znowu chłop z sąsiedniej wsi wiózł do młyna, albo żydówka pędziła stado kupionych gęsi.

A każdy pochwalił Boga, zamienił słów parę i szedł w swoją drogę, odprowadzony życzliwem słowem i spojrzeniem księdza, któren, że już słońce było coraz niżej, powstał i krzyknął do Walka:

— Doórz do brzózek i do domu... na nic się konie zmachają.

I poszedł wolno miedzami, odmawiał półgłosem modlitwy i jasnem, pełnem kochania spojrzeniem, ogarniał pola...

...Rzędy kobiet czerwieniły się na kopaniskach... rozlegał się grochot zsypywanych do wozów kartofli... miejscami orano jeszcze pod siew... stada krów srokatych pasły się na ugorach... długie popielate zagony rdzawiły się młodą szczotką zbóż wschodzących... to gęsi, niby płaty śniegów, bieliły się na wytartych, zrudziałych łąkach... krowa gdzieś zaryczała... ogniska się paliły i długie, niebieskie warkocze dymów ciągnęły się nad zagonami... Wóz zaturkotał albo pług zgrzytnął o kamienie... to cisza znowu obejmowała ziemię na chwilę, że słychać było głuchy bełkot rzeki i turkot młyna, schowanego za wsią, w zbitym gąszczu drzew pożółkłych... to znowu śpiewka się zerwała lub krzyk niewiadomo skąd powstały, leciał nisko, tłukł się po bruzdach i dołach i tonął bez echa w jesiennej szarości, na ścierniskach oprzę-

dzonych srebrnemi pajęczynami, w pustych sennych drogach, nad któremi pochylały się jarzębiny o krwawych, ciężkich głowach... to włóczono role i tuman szarego, przeszłowiecznego kurzu, podnosił się za bronami, wydłużał i pełzał aż na wzgórze i opadał, a z pod niego, niby z obłoku, wychylał się bosy chłop, z gołą głową, przewiązany płachtą — szedł wolno, nabierał ziarna z płachty i siał ruchem monotonnym, nabożnym i błogosławiącym ziemi, dochodził do końca zagonów, nabierał z worka zboża, nawracał i zwolna podchodził pod wzgórze, że najpierw głowa rozczochrana, potem ramiona, a wkońcu już był cały widny na tle słońca z tym samym błogosławiącym ruchem siejby; z tym samym świętym rzutem rozrzucał zboże, co jak złoty pył, kolistym wirem padało na ziemię.

Ksiądz szedł coraz wolniej, czasem przystawał, aby odetchnąć, to znowu obejrzał się na swoje siwki, to przyglądał się chłopakom obtłukującym kamieniami ogromną gruszę, aż hurmem przybiegli do niego i chowając ręce za siebie, całowali w rękaw sutanny.

Pogładził ich po głowach i rzekł upominająco:

— Nie łamcie ino gałęzi, bo na bezrok gruszek mieć nie będziecie.

— My nie rzucalim na gruszki, ino że tam jest gapie gniazdo — ozwał się śmielszy.

Ksiądz się uśmiechnął dobrotliwie i zaraz znowu przystanął przy kopaczach.

— Szczęść Boże w robocie!

— Boże zapłać, dziękujemy! — odpowiedzieli razem, prostując się i ruszyli wszyscy do ucałowania rąk dobrodzieja kochanego.

— Pan Bóg dał latoś urodzaj na kartofle, co? — mówił, wyciągając otwartą tabakierkę do mężczyzn, brali sumiennie i z szacunkiem w szczypty, nie śmiejąc przy nim zażywać.

— Juści kartofle kiej kocie łby i dużo pod krzami.

— Ha, to świnie zdrożeją, bo jaki taki chciał będzie wsadzać do karmika.

— Już i tak drogie; na zarazę latem wyginęły, a i do Prus kupują.

— Prawda, prawda.

— No, zostańcie z Bogiem.

— Panu Bogu oddajem.

I ksiądz skręcił na prawo, ku cmentarzowi, który leżał z tej strony wsi przy topolami wysadzonej drodze.

Długo za nim spoglądali w milczeniu, na jego smukłą, pochyloną nieco postać, dopiero, gdy przeszedł niskie kamienne ogrodzenie cmentarza i szedł między mogiłami ku kaplicy, co stała w pośród pożółkłych brzóz i klonów czerwonych, wzięli się chyżo za robotę i w cichości, że ino słychać było dziabanie motyczek o twardą ziemię, a czasem suchy dźwięk żelaza o kamień. Czasami ktoś nie ktoś wyprostował zgięty i zbolały grzbiet, odetchnął głęboko, popatrzył bezmyślnie na siejącego przed niemi i znowu kopał, wybierał z szarej ziemi żółte ziemniaki i rzucał do kosza przed się stojącego.

Słońce już się przetaczało na zachód i jakby rozżarzone biegiem szalonym, czerwieniło się kołem ogromnem i zsuwało za czarne, wysokie lasy. Mrok gęstniał i pełzał już po polach; sunął bruzdami, czaił się po rowach, wzbierał w gąszczach i zwolna rozlewał się po ziemi, przygaszał, ogarniał i tłumił barwy, że tylko czuby drzew, wieże i dachy kościoła gorzały płomieniami. A niektórzy ściągali już z pól do domów.

Głosy ludzkie, rżenia, porykiwania, turkoty wozów coraz ostrzej brzmiały w cichem omroczonem powietrzu.

Sygnaturka na kośsocie zaczęła dzwonić Anioł Pański, spiżowym świegotem, że ludzie przystawali i szept pacierzów, niby szemranie opadających listków padał w mroki.

Ze śpiewami a pokrzykami wesołymi, spędzano bydło z pastwisk, co ciżbą szło drogami w tumanach kurzawy, że tylko raz wraz wychylały się z niej głowy potężne i rogi krzaczaste.

Owce pobekiwały tu i owdzie, to gęsi zerwały się z pastwik i stadami leciały całe w zorzach zachodu zatopione, że tylko krzyk przenikliwy znaczył je w powietrzu.

— Ludzie, a to czas do domu, mroczeje.

— Czas, czas! Słońce już zaszło.

Pozbierali prędko motyczki, koszyki, to dwojaki od obiadów i szli wolno gęsiego, miedzą, pogadując coś niecoś.

A równo z niemi, jakaś dziewczyna gnała maciorę z prosiętami i śpiewała cienkim głosikiem:

Aj, nie chodź kiele woza —
Aj, nie trzymaj się osi,
Aj, nie dáj chłopu gęby,
Aj, choć cię pięknie prosi.

— Cie, głupia, wrzeszczy, kiejby ją kto ze skóry obdzierał.

Luźne myśli.

Myli się ten, co sądzi się dość silnym, by się obyć bez pomocy niczyjej — ale myli się jeszcze bardziej ten, kto sądzi, że się bez niego obyć niepodobna.

Nic bardziej pociągającego, jak przykład; wielkie cnoty tak samo jak wielkie zbrodnie nie giną bezdzietnie.

Szczytna odwaga polega na tem, by zrobić nawet bez świadków to, co się robi wobec licznych tłumów.

Hypokryzya (udawanie) to hołd składany cnocie przez występek.

Trzeba być rzeczywiście uczciwym, by szukać zawsze tylko towarzystwa uczciwych.

Cechą dobroci u młodych jest miłość starców, u starców miłość młodzieży.

Niepowodzenie jest kamieniem probierczym charakterów; człowiek sam siebie nie zna, dopóki nie przejdzie przez tę próbę.

